

Naszyjnik rubinowy Marji Antoniny

zrabowany w biały dzień

W Nowym Jorku dokonano niesłychanie zuchwałej kradzieży kosztowności, która swoim cynizmem i precyzją wykonania może ubiegać się o rekord w kronice wielkich kradzieży.

Łupem padł słynny rubinowy naszyjnik królowej francuskiej Marji Antoniny, nieszczejnej ofiary rewolucji. Królowa była do niego szczególnie przywiązana, a naszyjnik — specjalnie na jej zamówienie sporządzony — składał się z kamieni niesłychanie starannie dobranych, tak, że jeden niezmieni się nie różnił od drugiego. Urzędowy dokument, wystawiony przez Republikę Francuską, potwierdzał autentyczność klejnotu.

Ostatnią jego posiadaczką była ks. Mabel Hohenlohe - Schillingsfurth, Amerykanka z pochodzenia, która po rozwiedzeniu się z Miljardem Giftdorem Cochramem, wyszła zażamąż za księcia niemieckiego, którego poznała w Paryżu. Dom księżstwa dostępny był tylko dla najwyższej arystokracji, i poza najbliższymi jej przyjaciółkami, nikt nie mógł być wtajemniczony, że księżna zamierza swój drogocenny klejnot sprzedać: widocznie majątek, jaki jej pozostał po pierwszym mężu, już się rozszedł i teraz trzeba było sięgnąć do biżuterii.

Naszyjnik powierzono w komis najpierwszej jubilerskiej firmie w Nowym Jorku, której właściciel, Mikołaj Miller, był dawnym nadwornym dostawcą rosyjskiego cara. Cena sprzedaży, wyznaczona przez księżną, wynosiła 100.000 dolarów, do czego jubiler miał prawo dodać sobie pewien procent za pośrednictwo.

Wspaniały sklep Millera na Fifth Avenue był odwiedzany przez najbardziej doborową klientelę tej dzielnicy milionerów. A sam jubiler znał doskonale wszystkie osoby amerykańskiego high-lifu, jakoteż ich stan majątkowy. To też był nieco zdumiony, gdy pewnego dnia do sklepu weszła elegancka dama, której dotąd jeszcze nie znał.

Ze pochodzi z najwyższej arystokracji, co do tego nie było najmniejszej wątpliwości: świadczyła o tym zarówno rasowa twarz i postać, jakoteż i całe zachowanie się przybyłej, dowodzące, że od dzieciństwa przywy-

kła żyć w największym przepychu. Lokaj w liberyj otworzył przed nią drzwi wejściowe, a dama, skinawszy jubilerowi, odezwała się doń niedbałym tonem: — Mabel mnie do pana skierowała, mam dla pana pozdrowienie od niej.

— Mabel? — zapytał Miller, napróżno starając się zorjentować, kogo ma przed sobą.

— No, oczywiście, księżna Hohenlohe - Schillingsfurth — odparła dama obojętnym tonem.

— Ach, tak. Czy może chodzi o...

— ...rubiny Marji Antoniny. Chciałabym je obejrzeć.

W chwilę później cenny klejnot, o którym marzyło tysiąc najbogatszych kobiet w Stanach Zjednoczonych, a o którego oddaniu do sprzedaży żadna z nich jeszcze nie wiedziała, leżał na sklepowej ladzie. Nieznajoma obejrzała go

dokładnie, a z zachowania się jej widać było, że naszyjnik niezmiernie się jej podobał. To też jubiler, mając przed sobą tak doskonałą klientkę, na zapytania o cenę wymienił sumę 175.000 dolarów.

Nieznajoma księżna (bo z całego zachowania się wynikało, że musi pochodzić z najwyższej arystokracji) odwróciła się do lokaja: „Książeczkę czekową!”

Ugolonowany służący sięgnął do kieszeni, a w sekundę później jubiler zobaczył wymierzoną ku sobie lufę rewolweru.

— Jedno tylko słówko, staruszk! — to było wszystko co powiedział, zresztą nie wychodząc z niczem ze swej służbistej postaci. Przechodnie, którzyby przypadkowo rzucili okiem do wnętrza sklepu, nie mogliby się nawet domyśleć tragedii, jaka się w nim rozgrywała. Na skinienie da-

my zbliżył się szofer, który momentalnie nałożył jubilerowi kajdany na ręce i nogi, poczem przeciął druty telefoniczne, wyłączył aparat alarmowy, a po drodze zabrał sobie parę cenniejszych pierścionków — na dodatek. Z największym spokojem i dystynkcją cała trójka wyszła ze sklepu, równie ceremonijalnym krokiem, jak do niego weszła, poczem wsiadła do auta i nie śpiesząc się zbytnio, odjechała.

Policja amerykańska wyteęła obecnie całą przebiegłość, aby wpaść na trop niezwykle sprytnych bandy. Księżna Mabel zapewniła, że poza najbliższymi znajomymi nikt jeszcze nie mógł wiedzieć o jej zamiarze sprzedania naszyjnika. To też policja przypuszcza, że ma doczynienia nie ze zwykłą bandą, ale ze złodziejami-gentlemenami. Tylko czy potrafi ich przychwyć?

Skrucha czy ucieczka?

Maż który sam prosi o karę

Stany Zjednoczone są jeszcze, jak się zdaje, prawdziwym rajem dla kobiet. Korzystają one z wielu przywilejów, zajmują w hierarchii społecznej wyższą pozycję niż mężczyźni, nadają ton i zw. opinii. Ale to jeszcze nie wszystko. Jak się okazuje z rubryk procesów sądowych, zdarzają się tam okazy mężów, jakie trudno byłoby wyimaginaować sobie w zaoferanej Europie.

Są więc w U. S. S. mężowie, którzy w poczuciu przewiny wobec małżonki, pragną sami dostać się do więzienia, aby odpokutować swoje grzechy. Dziwacz-

ne to — ale różnie wszak bywa na tym świecie. Zdarzają się widocznie i takie okazy fauny ludzkiej.

Policję nowojorską alarmował codziennie telefonicznie pewien jegomość, który usilnie domagał się aresztowania i odprowadzenia do więzienia. Komisarz odpowiadał stale odmownie ekscentrycznemu „przestępcy”. Ale że telefony powtarzały się codziennie uparcie, przeto wydelegowano w końcu inspektora, aby zbadał na miejscu stan rzeczy i dowiedział się o co chodzi.

U M O K

ODYNIEC I DMUSZEWSKI

Nie wiem — pisze nam jeden z czytelników — czy egzystuje dziś jeszcze chińska altanka zbudowana w ogrodzie Ordynata Zamoyskiego, tuż przy murze otaczającym ogród Saski i górująca nad tym parkiem.

W altance tej, lat temu około sześćdziesięciu, a może i więcej, siedziało dwóch młodych ludzi: Ordyniec i przyjaciel Mckiewicz. Patrzyli w ogród Saski na spacerującą publiczność.

W tymże czasie boczna i mało uczęszczana aleja, tuż pod parkiem i altaną szło dwóch ludzi: jeden z nich świeżo przybyły ze wsi prowincjonal-

sta i redaktor jednego z dzienników warszawskich, Ludwik Dmuszewski.

Pierwszy z nich nieobeznany z miejscowością i ludźmi, zapytał drugiego, co by to byli za panowie siedzący w altance.

Na to mu głośno, przechodząc tuż pod altanką odpowiedział, wskazując ręką Dmuszewski:

— To Odyniec z Ordynem z „Ordyńata łaski, [dynamita łaski, Siedząc w chińskiej altance patrzą [w ogród Saski.

Dosłyszał ten dźwięk Odyniec, a nie chcąc pozostać dłużnym wychylił się przez parkan i odpowiedział:

— Ten koncept tak niedźny, tak [głupi, tak płaski,

— Wydmuchnął pan Dmuszewski [gazeciarski warszawski!

Przybyły do mieszkania pana Cd. urzędnik policyjny stwierdził, iż młody żonkoś miał przed kilkoma tygodniami kłótnię z małżonką, w czasie której zachowywał się — zdaniem żony — jak „bestja”. Obecnie chce on odpokutować swoją przewinę w murach więziennych.

Dobrze. Ale cóż z tego, kiedy do sumienia policji nie przemawiają tego rodzaju „małżeńskie grzechy”, choćby to było nawet w Ameryce? Widząc, że nie przekona policjanta w żaden sposób, pan Cd. zaczął się awanturować: wybił szyby w oknie, porzbił meble etc. Koniec końców policjant musiał teraz interweniować i na podstawie stwierdzonego faktu „niefobyczajnego zachowania się w obliczu przedstawiciela władzy”, został pan Cd. aresztowany i odprowadzony do więzienia. Tu udało mu się przekonać władzę o swoim „czarnym charakterze” jako męża i o trzymać nareszcie zezwolenie na miesięczny pobyt w celi więziennej.

Sceptyk zadałby sobie tylko pytanie, czy przypadkiem chorobliwa tęsknota za więzieniem nie jest u pana Cd. chęcią urlopu w odosobnieniu przed rozkoszami amerykańskiego ogniska domowego?...

Najmłodszy żołnierz Francji

został uczczony pomnikiem

Desiré Bianco liczył sobie dwa naście lat w chwili, gdy wybuchła wojna światowa. Mieszkał z rodzicami w Marsylii i nie nie zapowiadało, że z małego Desiré wyrośnie bohater. Ale wybuch wojny podniecił chłopca.

Uciekł z domu i próbował dostać się na front w pociągach towarowych, szmuglując się jako „ślepy” pasażer. Odkryto go jednak i odprowadzono do domu. Jeszcze raz zbiegł chłopiec i tym razem towarzyszyło mu szczęście.

Wśliznął się niepostrzeżenie na pokład statku transportującego wojsko z Marsylii i odkryto go dopiero na pełnym morzu. Jego postawa, gorące prośby i inteligencja zmiękczyły serce dowódcy

transportu i pułk piechoty, który znajdował się na statku, adoptował małego Desiré.

Zaraz po wyładowaniu wojska na półwyspie Gallipoli wziął chłopiec udział w bitwach i wykazał niemałą odwagę i przytomność umysłu. Ale już w dwa dni później, 5 maja 1915 roku został Desiré śmiertelnie ranny podczas ataku na bagnety.

Obecnie odsłonięto w Tulonie pomnik ku czci najmłodszego żołnierza Francji, małego Desiré. Odsłonięcie pomnika odbyło się w obecności władz cywilnych i wojskowych z honorami, które oddał pamięci młodocianego bohatera oddział żołnierzy piechoty marynarki.

Tęczowe kolory

przybrały taksówki w Paryżu

Kalejdoskop ulicy paryskiej zmienił się bardzo w ostatnich czasach. Przybyło mu kolorów, barw. Taksówki paryskie mieniają się teraz wszystkimi kolorami tęczy, porzucając jednostajną, prawie ciemną barwę.

A stało się to dlatego, że przedsiębiorstwa taksówkowe zorjentowały się w upodobaniach publiczności i postanowiły zwrócić uwagę na wygląd wozów. A więc nie tylko zaopatrzone je w wygodne fotele, zapalniczki elektryczne etc., ale polakierowano je na kolory pociągające oko: piękny gorączkość, pomarańczowy, kremowy, lilowy, jasnozielony, czerwony niebieski etc. A że Paryżowi przybywa coraz więcej taksówek, więc ulice i place paryskie lśnią wszystkimi barwami tęczy, gdy zapędnią je niekończące się sznury aut pięknie polakierowanych.

Prawda, że i w Warszawie zaczęto przelakierowywać taksówki na ciemniejsze i rozmaite od piaskowego koloru. Ale cóż z tego, kiedy liczba wozów maleje, a na bruku nietylko stolicy lecz i innych miast Polski pojawiają się w coraz większej liczbie pojazdy konne.

Nowa gwiazda

w konstelacji Cefeusza

W obserwatorium astronomicznym Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie zaobserwowano wieczorem dn. 19 b. m. nową gwiazdę w konstelacji Cefeusza, odkrytą w przeddzień w Niemczech. Według pomiarów dokonanych w Warszawie ma ona obecnie 3,0 wielkości gwiazdowej, a więc należy do najjaśniejszych gwiazd tej okolicy nieba. Ustępuję blaskiem jedynie gwiazdzie Beta wymienionej konstelacji. Konstelacja liczy w sumie około 250

gwiazd widocznych gołym okiem i należy do gwiazdozbiorów w Polsce niezachodzących.

Nową gwiazdę odkrył astronom niemiecki dr. Hoffmeister z obserwatorium w Babelsberg w czasie przygotowań do obserwacji zaćmienia słońca.

Dziesięć dni

w masce gazowej

W jednej z fabryk włókienniczych pod Moskwą przeprowadzono eksperyment z maskami gazowymi: czterech robotników musieli dziesięć dni pod rząd pracować przy warsztacie w maskach gazowych, zdejmując je na krótki czas tylko cztery razy w ciągu dnia, a mianowicie podczas snu.

Eksperyment ten, o przebiegu którego nadawano reportaż przez radio, udał się podobno bardzo dobrze.



Lody „PINGWIN” w opakowaniu DO NABYCIA WSZĘDZIE

MARJAN MALKOWSKI

23)

TAJEMNICA

ZA KAŻDEMI DRZWIAMI

Powieść

— Wierzę — Cień uśmiechu przewinął się po wargach komisarza policji — nie otwierałem wcale drzwi wejściowych! — Pociął na biurko parę męskich rękawiczek z jasno - żółtej skóry, które przed chwilą wyjął z kieszeni płaszcza, wiszącego w przedpokoju. — Te rękawiczki należą oczywiście do pana.

— Tak.

— I nosi je pan stale? Jak również i ten ciemny płaszcz, wiszący w przedpokoju i szary filcowy kapelusz?

— Rzeczywiście, nie przypuszczam jednak, abym, ubierając się w ten sposób popełniał jakieś przestępstwo? Zapewne, podczas gdy tu stuknąłem na maszynie musiał się pan coś nie coś rozejrzeć po moim mieszkaniu. Szukał pan może broni? Jeśli tak, szkoda, że nie zwrócił się pan odrzuć do mnie. Broń chowam zwykle tutaj. — Otworzył szufladę biurka i wyjął leżący tam browning. Nabity, dawno już z niego nie strzelałem. Nie ręczę, czy będzie pasował do kuli, którą zabito Cholyńskiego, ale może pan sprawdzić.

Podał broń Pietraszkowi i sięgnął po papierosa. Jeden rzut oka wystarczył komisarzowi, by stwierdzić, że broń, którą miał w ręku była znacznie większego kalibru niż ta, od której padł Cholyński. Mimo to jednak oglądał broń przez chwilę pozornie bardzo nią zajęty, wistocie zaś obserwował nieznacznie Bolewę. Zauważył, że ręką, którą zapalał papierosa drżała lekko. Na jedną chwilę twarz literata straciła swój wyraz drwiącej obojętności i w rysz jego odbiło się głębokie udrczenie. Wydał się komisarzowi nagle starszym

o lat dziesięć i dziwnie zmienionym. Ale trwało to tylko krótką chwilę; zaciągnął się dymem i oczy, które na Pietraszka podniósł były znów chłodne, ironiczne...

— Tak — rzekł komisarz kładąc browning spowrotem na biurku. — Nie jest to broń, o którą mi chodzi i nie sadzę, bym ją znalazł. Morderca miał dość czasu między zabójstwem a odnalezieniem ciała Cholyńskiego, aby się tej broni szczęśliwie pozbyć. Pana mam zapytać o coś innego. Chcę, by mnie pan objaśnił, co robił pan w Pruszkowie wieczorem tego dnia, gdy ciało Cholyńskiego zostało odnalezione?

— W Pruszkowie, wieczorem? — powtórzył Bolewa tonem zdziwienia.

— Nie potrzebuje pan przeczyć, to napróżno; widziano pana. Przyszedł pan do domu, w którym mieszkał Cholyński, oznajmił pan gospodarzowi, że chce się z nim widzieć i że pan na niego zaczeka, a korzystając z nieuważi gospodarza dostał się pan do pokoju Cholyńskiego i przeszukał pan jego rzeczy. Czego pan tam szukał? To właśnie chciałbym wiedzieć?

Bolewa patrzył uważnie w twarz komisarza.

— Nie wiem, — rzekł zwolna — czy rzeczywiście posiada pan dowody, czy też raczej udaje pan, że je ma, by skłonić mnie do wyznań... Nie znam jeszcze pańskiej metody... w każdym razie, jeżeli nawet przypuścimy, że to ja byłem w Pruszkowie i pytałem się o Cholyńskiego, to i tak nie może pan dowiedzieć, że to ja właśnie, a nie kto inny zrewidowałem pokój Cholyńskiego. Czyż kto widział mnie wchodzącego lub wychodzącego z tego pokoju?

— Ale dowiedzieć mogę, że kłamstwem jest, jakoby pan nie znalazł Cholyńskiego.

Bolewa przeszedł się po pokoju z rękami wsuniętymi w kieszenie spodni.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli powiem panu prawdę — rzekł zatrzymując się przed Pietraszkim.

— I ja tak myślę — skwapliwie stwierdził komisarz.

— Moje poprzednie stanowisko jest, mam nadzieję, zupełnie

zrozumiałe — Bolewa cofnął się znów za biurko. — Nikt nie chciałby być wieszany w sprawę morderstwa, tem więcej, gdy wszystko, co ukrywa, nie ma dla tej sprawy żadnego znaczenia. Znałem Juliana Cholyńskiego... Kilka lat temu prowadziłem pismo literackie, które Cholyński zasilal od czasu do czasu swoimi artykułami. Znamość nasza była bardzo powierzchowna. Pismo wychodziło może przez pół roku, może dłużej i zbankrutowało. Wtedy to Cholyński znikł mi zupełnie z oczu. Byłem mu jeszcze winien jakąś niewielką sumkę za jego ostatnie prace, ale nie miałem na razie z czego zapłacić. Kilka dni temu spotkałem Cholyńskiego na ulicy. Mówił mi, że nie ma posady i jest w dość trudnej sytuacji. Przypomniałem mu mój dług i obiecałem zapłacić. Nie miałem przy sobie pieniędzy, więc dowiedziałem się, gdzie mieszka i obiecałem przysłać. Swego adresu nie chciałem dawać Cholyńskiemu. Nie lubię, by nachodzono mnie w moim mieszkaniu, przy pracy. Na nieszczęście zapomniałem adresu Cholyńskiego, pamiętałem coś piąte przez dziesiątę, nie tyle jednak, by móc wysłać pieniądze pocztą. Po kilku dniach wybrałem się więc do Pruszkowa, by odnaleźć Cholyńskiego... Według jego objaśnień trafiłem dość łatwo; nie wiedziałem oczywiście, że biedak już nie żyje... Gdy mi oznajmiono, że go nie zastałem, powiedziałem umyślnie, że się z nim umówiłem; chciałem zjechać, nie miałbym ochoty drugi raz wędrować do Pruszkowa, nie mam zbyt wiele wolnego czasu. Nie doczekałszy się powrotu Cholyńskiego, wyszedłem, bo nie chciałem spóźnić się na pociąg; było już późno. Wróciłem koleją do Warszawy a nazajutrz rano dowiedziałem się, że Cholyńskiego zamordowano tu, w tym domu.

— Nie przypuszcza pan, że Cholyński idąc tu, chciał widzieć się z panem; że nie odebrałszy obiecanych pieniędzy, przyszedł się o nie upomnieć?

— Nie znał mego adresu.

— Mógł się dowiedzieć w redakcji.

— Zastrzegłem tam sobie, by go nie dawano nikomu.

— W biurze adresowem wrzescie...

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12-13.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefon: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgowość i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.
PRZEDSIĘWZIĘCIA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59, Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.
PRENUMERATA: miesięczna (z odnośnieniem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł, opis specjalne — 3 zł., lekarstwo — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczą się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.